

## SZKIC JADOWITO-DYGRESYJNY O POETACH I KRYTYKACH

### I. Wielkość dmuchana a wielkość prawdziwa

„Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha, / Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha? / Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi: [...]” przemawiał w *Improwizacji* ustami Konrada Adam Mickiewicz. Fakt to bezsporny, że problemy narodowego wieszcza są ponadczasowe i dotyczą wszystkich poetów – oczywiście z wyłączeniem większości laureatów konkursów poetyckich, tudzież uczestników warsztatów, sramów (przepraszam za wyrażenie) i innych nowomodnych spędów, ci bowiem dla swoich nielotnych myśli mają wymarzoną, bo niewymagającą klientelę, która nie zakwestionuje ich nadmuchanej naturalnym gazem wielkości. Ten zapatrzony w siebie kolektyw ma zapewnione dobre samopoczucie. Jednak poeci prawdziwi: poważni, wolni, wyrastający ponad poziom prostackiego ogółu samotnicy, niepokorni, oryginalni i wrażliwi, których twórczość jest osadzona w tradycji, lecz nowatorska, do tego stanowi połączenie nadzwyczajnej jasności myśli, wiedzy, talentu i jeszcze kilku równie rzadkich ingrediencji – tacy poeci zawsze byli, są i będą otoczeni przez wielu sobie współczesnych jeśli nie pogardliwym milczeniem, to co najmniej lekceważeniem. Paradoksalnie, może to stanowić powód do zadowolenia, bowiem odrzucenie lub obojętność tzw. krytyki i tzw. środowiska jest pierwszym i zazwyczaj miarodajnym probierzem wielkości, który często dopiero następnym pokoleniom wskaże drogę do tajemnych i pięknych miejsc, ukrytych przez genialnego poetę w istic mickiewiczowskim mateczniku. Przykładów na tę tezę podawać nie trzeba, zakładam bowiem, że czytający ten szkic ma podstawowe rozeznanie w historii literatury i nieobce są mu życiowe perypetie nieuznanych swego czasu poetów. Oczywiście bywa też tak, iż dziwnym zrzędzeniem losu wybitny poeta jest ceniony już za życia – zazwyczaj przez nielicznych wybranych, nie tylko posiadających rozległą wiedzę, ale jednocześnie wrażliwych i obdarzonych smakiem. To jednak należy do przypadków na tyle rzadkich, że nie nadających się do sformułowania ogólnej optymistycznej teorii.

### II. Grafomania pod szyldem awangardy

Współczesna tzw. poezja uprawiana przez ludzi naśladowujących (świadomie lub nie) dadaistyczne i futurystyczne nonsensy, zapatrzonych w słowne odchody Karpowicza, Grochowiaka czy późnego Białoszewskiego, ludzi, jak pisał Artur Sandauer „nie tylko żadnym obcym, ale i ojczystym językiem nie w pełni władających”, charakteryzuje się „niezrozumiałością i alogicznością nie wynikającą z założonych konceptów, ale z nieuctwa, braku smaku, braku ducha”. Wtórował mu Czesław Miłosz słowami: „Biedni chłopcy, pozbawieni tego powodu do dumy, jakim jest wiara, że się pisze poezję przez wielkie P”. Światło w zawałającym się cuchnącym kanale dostrzegł poeta Józef Czechowicz, według którego „Dzisiejszy napór barbarzyństwa stwarza warunki, by duch dźwignął się do wyżyn niebywałych”. I rzeczywiście, historia uczy, że czas zagłady daje nadzieję na odbudowę; w czasie pogardy często powstają zaczątki nowej myśli, dojrzewają i dają owoce. Widać to wyraźnie i teraz, na początku XXI wieku. Z jednej strony mamy dowodzone przez nadmuchane autorytety masy różnych neolingwistów, neoturpistów i innych neoniedouków kultywujące plebejski rodzaj wyziewów słownych (bo nie poezji przecież), nurzające się w bełkotliwości, nieporadności, wulgarności, niechlujstwie, złej ortografii – słowem – w grafomanii. Z drugiej strony mamy indywidualności w skupieniu rekonstruujące w poezji wartości jej przynależne, oparte na refleksji filozoficznej, wadze słowa, wiedzy, estetyzmie, wyobraźni, świadomej kompozycji, przyzycji, zwięzłości, a nawet tak wielokrotnie ośmieszanych uczuciach. Niestety, niewielu jest dziennikarzy, eseistów, krytyków,

animatorów kultury, którzy bezinteresownie odważyliby się na promowanie prawdziwej indywidualności i kultury autentycznie wysokiej, którzy, nawet gdyby mieli własne zdanie, powstrzymaliby strach przed wygłoszeniem go publicznie. W większości bowiem, jak przypuszczam, są to ludzie źle wykształceni, niesamodzielni, leniwi i, co najgorsze, cwani, zwyczajnie bojący się obnażenia własnej mierności i wybierający łatwiznę, czyli promocję grafomanii pod szyldem awangardy. Niewielka garstka tych, którzy z prawdziwego powołania zajmują się poezją (literaturą) istotną, nie jest w stanie albo nie chce wygrzebać się spod ciężaru utytułowanych autorytetów, pod którymi zapewne dokona żywota, nie znajdując następców ani dla siebie, ani dla nich. Same autorytety i autoryteciki też raczej nie wykazują zainteresowania poważnymi a nieuznanymi twórcami, koncentrując się na narcystycznym, ale dyskretnym pielęgnowaniu własnej wielkości, jeśli zaś już kogoś promują, to raczej wulgarną mierność w rodzaju np. Masłowskiej czy Podgórnika, by na takim tle błyszczeć z większą siłą (chyba że robią to dla niesmacznego żartu, za pieniądze lub pół litra, co jest równie niezrozumiałe). Jakże więc wielki był Staff – nie tylko jako genialny poeta, również jako człowiek – bezinteresownie wspierając Tuwima, podobnie Krasiński patronując Słowackiemu czy Nałkowska promując Schulza; podobne sytuacje we współczesnym świecie odwróconych wartości wydają się niemożliwe.

### III. Pyszczeni, siwi, gramatycy

Wybitny grecki poeta Kawafis twierdził, że utwory pisane przed czterdziestką a przede wszystkim młodzieńcze są nic niewarte, i jedynie człowiek dojrzały ma coś do powiedzenia. Twierdzenie radykalne, ale mimo kilku wyjątków z odległej przeszłości (Byron, Słowacki, Rimbaud) łatwe do udowodnienia. Znacznie trudniej byłoby udowodnić twierdzenie, że utwory pisane po czterdziestce są nic niewarte – chociaż nie jest to niemożliwe, biorąc pod uwagę chociażby późną twórczość Miłosza, która do szczytowych osiągnięć poety nie należy i jej miejsce jest raczej w koszu niż na półce (trudno w tym przypadku nie zgodzić się z tym, o czym wiedział Mickiewicz, a co sformułowała Nadieżda Mandelsztam, mianowicie, że poeta musi też umieć milczeć). Wracając do istoty tematu: rzecz w tym, że z tego co obserwuję, dla wielu młodych (szerzej: niedojrzałych) twórców i krytyków, poezja to często jedynie przeniesione na papier cytaty z dworcowego szaletu, wiersze dyslektyków czy bełkot nieuków. Tego typu twórczość spotykam zbyt często, panoszy się jak chwasty w ogrodzie, a to napawa niesmakiem i niepokoi. Pytanie, czy ktoś poza autorami czyta tego typu „poezję”? Na szczęście raczej nie. Te odchody mają wprawdzie w zachwyt jedynie ich sprawcę i garstkę jego wielbicieli. Nie chciałbym uchodzić za juvenilofoba, ale w połowie życia mam już pewność, że aby napisać naprawdę dobry wiersz (opowiadanie, powieść itd.), poza samą umiejętnością pisania – wcale nieczęstą – trzeba sporo wiedzieć, co nieco przeżyć, dużo przeczytać, być człowiekiem wewnątrznie wolnym i posiadać zdolność do refleksji. Jeśli do tego dojdzie jeszcze dobry smak, wrażliwość i „dar czytania tajemnic”, może nawet powstać wiersz doskonały, a nawet wielki. Samo jednak nachalne parcie, znajomości, słowna biegunka, pozorna erudycja, skłonność do wulgarnych wybebeszeń czy przyjmowanie tzw. artystycznych póz nie wystarczą, by zostać poetą, tym bardziej przez wielkie P. To wystarczy co najwyżej na krótkotrwałą sławę, nagrody w konkursach, względy mediów, podziw chłystków, nieograniczoną możliwość publikowania własnego słowotoku, jednak na prawdziwą wielkość to za mało. Poezja jest znacznie bliżej filozofii niż sztuki, zatem, żeby zostać poetą trzeba się kształcić – to warunek konieczny – oczywiście najlepiej samodzielnie, ale na bazie poważnych studiów uniwersyteckich, pamiętając, że droga do pisania poważnej liryki nie zawsze jest prosta i raczej nie wiedzie przez polonistykę. Można wręcz mieć pewność, że studiowanie gramatyki jest stratą czasu. Ciekawe jednak jest to, iż właśnie seminaria poświęcone gramatyce są oblegane przez przyszłych tzw. poetów i krytyków, co pozwala przypuszczać, że zajęcia z literatury są dla nich zbyt banalne – a może po prostu zbyt trudne? Skłaniam się raczej ku tej drugiej ewentualności – wiadomo, literatura wymaga czytania, co jest niełatwe i czasochłonne, do tego czytania ze zrozumieniem, a to już trudność

podwójna. Jeśli do tego dodać niezbędną umiejętność analizy, argumentacji, dyskusji i, *last but not least*, pisania, to rzeczywiście łatwiej zająć się zaimkami czy odkrywać urodę przydawek. W każdym razie historia dowodzi, że prawdziwe szczyty poezji (literatury) i rzeczywistą wielkość rzadko kiedy – jeśli w ogóle – osiągają gramatycy i inni specjaliści od języka. Zazwyczaj zdobywają je absolwenci kierunków mało z poezją związanych, co łatwo sprawdzić – gdyby ktoś mi nie uwierzył na słowo.

#### **IV. Kolektywizacja umysłów i tak zwani krytycy**

Polska jest krajem, gdzie od dziecka niszczy się intelektualną suwerenność, co po latach doprowadza do schizofrenicznego zakłamania, tchórzostwa i umysłowej kolektywizacji. Pracują nad tym szkoły, uczelnie, kościół, rodzina, politycy, nadmuchane autorytety i media, obejmując systemem nakazów, zakazów, strachów, ludowych prawd, półprawd, jedynych prawd, kłamstw, tabu, nieścistości, przemilczeń i niedomówień wszelkie aspekty życia. Jest to niezwykle łatwa praca na narodzie, któremu odcięto korzenie, czyli wymordowano inteligencję. Próby stworzenia nowej, posłusznej inteligencji doprowadziły jedynie do powstania ćwiercinteligencji, to znaczy słabo wykształconych, awansowanych poprzez punkty preferencyjne i partię (kiedyś), płatne studia i bezwartościową maturę (dzisiaj) oraz jakikolwiek układ (zawsze) bezwolnych piewców dowolnie wskazanej idei, postrzegających indywidualistę lub kontestatora jako głupca albo wręcz zasługującego na eliminację heretyka. Na polu krytyki efekt tych zmasowanych działań jest taki, że krytyk zazwyczaj pisze fatalnie, zarówno jeśli idzie o styl, jak i argumentację, miotając się w bełkotliwym, pozbawionym konkretów słowotoku, bo nikt go nie nauczył logicznie myśleć a nade wszystko dobrze i zrozumiale pisać. Rzadko też pisze co chce, ponieważ krępują go różne układy, jednak największym jego ograniczeniem jest własna niewiedza i obstrukcja umysłu oraz typowa dla humanistyki względność, nie pozwalająca na wytworzenie aparatu pojęciowego i metod badawczych umożliwiających sensowną retorykę i ocenę, właściwe dla nauk przyrodniczych. Czy ktoś by potraktował poważnie ludzi podających się za matematyków, z których jeden głosiłby, że twierdzenie Pitagorasa dotyczy kuli, a drugi, że rachunku prawdopodobieństwa? Albo geografów spierających się, czy lepszy jest kierunek północny czy południowy? Pewnie nie, ale w krytyce rozważania na tym poziomie są codziennością. Napuszenie, nieuctwo i spustoszenie umysłów są już tak wielkie, że wielu zajmujących się krytyką bez najmniejszego skrępowania wypowiada sądy odpowiadające w matematyce temu, według którego Pitagoras jest kulą o bokach skierowanych prawdopodobnie na północ.

#### **V. Kulturowa dywersja**

Szkodliwość tak zwanych krytyków jest większa niż szkodliwość grafomanów. Grafoman czy jakikolwiek marny wytwórca w dowolnej dziedzinie sztuki sam jest niegroźny; bez krytyka (i mediów) nie istnieje w świadomości społecznej. Jest nikim. Dzięki krytykowi i mediom staje się np. ikoną kultury, wielkim poetą czy malarzem. Zwykle jest tak, że marny krytyk wyszukuje sobie marnego artystę i tworzy z nim tandem nieudaczników, do którego po drodze przyczepiają się różne rzeczy zwykle leżące na asfalcie czy polnej ścieżce, i wspólnie tworzą legendę. To łatwizna i kulturowa dywersja. Oczywiście rozumiem obojętne lub niechętne stanowisko krytyki wobec kultury, która ją przerasta, rozumiem, że jedyną jej reakcją może być zdegradowanie i unieważnienie, urzędowe oficjalne nieuznanie, gombrowiczowskie „upupienie”, co niestety skłania nawet zdolnych piszących do lizusostwa, niechlujstwa, konformizmu i skundlenia, zaś w połączeniu z nadal aktualną w Polsce marksistowską koncepcją, że ilość przejdzie w jakość, daje skutki w postaci wszechobecnej w sztuce, a wyniesionej do rangi dzieła mierności. Rozumiem te postawy, ale nie mogę ani pogodzić się z nimi, ani ich wybaczyć, szczególnie gdy zewsząd mi się wmawia, że kiwające się na krowich postronkach balony to spiżowe pomniki.

## VI. Zakończenie

Jak nietrudno zauważyć, powyższe uwagi można odnieść nie tylko do poezji i związanej z nią krytyki, ale do całej sztuki. Więcej nawet, wszelkie objawy nieuctwa i geścjarstwa są bardziej widoczne w innych niż poezja dziedzinach, np. w plastyce czy w fotografii cyfrowej, gdzie wkład umysłu „artysty” jest już zwykle zupełnie śladowy, bo nawet nie musi on znać alfabetu by „tworzyć”. Jednak w tych przypadkach, w ramach rekompensaty nicości, wszelkie interpretacje „dzieł” są w swej niezdarności i bełkotliwości bardziej humorystyczne niż analizy wierszy, co pozwala spojrzeć z pewnym pobłażaniem i dystansem na wygłup i nieudolność. Również szkodliwość tych wytworów dla kultury jest niewielka, bo znajdują miejsce – w najlepszym przypadku – w piwnicach muzeów, czyli de facto na składowiskach odpadów. Od literatury jednak można i należy wymagać więcej, najwięcej zaś od poezji, gdyż to ona, jako sztuka najbliższa klasycznej filozofii powinna posługiwać się myślą, do tego jasną, zwięzłą i sprecyzowaną, a nie brnąć w nieporadność, niezrozumiałość, niechlujstwo, pokraczność i alogiczność, manifestując tym swoją plebejskość, która jej po prostu nie przystoi. Jak pisał Horacy „poeta nie może sobie pozwolić na przeciętność” – ani tym bardziej na cokolwiek mniej. Jest oczywiste, że tylko wypełniający sentencję rzymskiego poety budują gmach – zamek Literatury. Reszta, choćby najbardziej przez siebie współczesnych wynoszona, utytułowana i nagradzana, lepi co najwyżej stragan na podzamczu. Obawiam się tylko, by stragany i smród z nich bijący nie przesłoniły zamku.